

Reakcja środowiska w tej sprawie była ambiwalentna. Ta dwojakość uczuć z jednej strony wynikała z programowej niechęci do działań PZPN ograniczających zachowania naganne w klubach, zaś z drugiej – do zadowolenia, że jednak nie tylko i nie zawsze „ryba psuje się od głowy”. Wyraźnie kłóciło się z praktykami pana Jana Tomaszewskiego, który na PZPN wyładowywał swoje frustracje i jego kosztem usiłował zbić własny kapitał społeczny. Ochoczo wtórowała mu imienniczka z Jaworzna. Michał Listkiewicz nie miał tu żadnych wątpliwości:

... „Pani mecenas w „aferze barażowej” wykorzystuje, niestety – piłkę nożną do prowadzenia własnej kariery zawodowej... Wprowadziła sporo zamieszania w środowisku piłkarskim. To pewien ogólniejszy problem. Dla wielu prawników futbol jest „czarną magią”... Myślę, że pani Tomaszewskiej przydałaby się praktyka w jednym z wydziałów Związku. Wtedy przekonałaby się, że nasz futbol nie jest „siedliskiem zła”, skupiającym „czarne charaktery”.

Prezes realizując ten nieco szokujący pomysł, w pierwszej kolejności przywrócił do łask Jana Tomaszewskiego. Widać naiwnie sądził, że na jednym ogniu zdoła upiec dwie pieczenie: odwieść „Tomka” od schizofrenicznych pomysłów ciągłego oblewania PZPN pomyjami oraz znaleźć w nim wreszcie kompetentnego doradcę i wiernego sojusznika w walce z korupcją. Może to przekona opinię publiczną, że ligowe afery rodzą się nie przy ulicy Miodowej w Warszawie, lecz daleko poza jej granicami. Ja też na łamach „Polskiej Piłki” zabrałem głos w tej przykrej materii skrojonej przez Jaworzno i Nowy Dwór Mazowiecki.

... Biedna jest ta nasza liga piłkarska. Już swój „poród” w latach dwudziestych przeżywała w atmosferze skandalu, protestów i rezygnacji. A kiedy dwadzieścia lat później ekstraklasę reaktywowano, to też w klimacie sporów politycznych, doktrynalnego spojrzenia na jej funkcje społeczne i „burżuazyjny rodowód”. Dziś możemy się tylko pośmiać z tych oskarżeń, ale nie przestajemy

być wolni od obaw, bo wciąż tej naszej lidze coś zagraża. Jest przekupna, rachityczna, ponad stan, nie na miarę potrzeb reprezentacji.

Dużo więcej spodziewałem się po tej „okazjonalnej” reformie rozgrywek. Tymczasem pogłębiły się moje wątpliwości i... zdziwienia. Sądziłem, że lada moment i w naszej lidze na dobre zadomowi się mała stabilizacja: organizacyjna, szkoleniowa, kadrowa. Nie będzie też wariackich wyników spotkań, podejrzeń o przekupstwo, bimbania z zasad fair play, zmiennych nastrojów piłkarzy i „pomyłek” arbitrow. Nawiązując zaś do „afery barażowej” w wydaniu Świtu i Szczakowianki, w równym stopniu uznałem winę obu zwaśnionych stron. Przyświecało mi tu przesłanie Tadeusza Boya-Żeleńskiego: *„Bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”*. Jeśli ktoś coś pokątnie sprzedaje, to przecież musi mieć pewność, że ktoś bliski i zaufany chętnie to kupi! To nieczysty interes, ale przecież interes! Na linii Jaworzno – Nowy Dwór Mazowiecki zapewne dobrze o tym wiedziano. Ale gdy „przekręt” ujrzał światło dzienne, kupujący i sprzedający nie poczuli się do winy. Oba kluby wywalił bym z ligi! PZPN się ślimaczył, w rezultacie i za to przestępstwo ligowców dostał niezłe baty.

Postawy ludzi tkwiących w ligowym futbolu od niedawna, wciąż szokują i daleko odbiegają od norm obyczajowo i moralnie poprawnych. Na pokaz szermują komunałami o profesjonalizmie, fachowości i uczciwości, a tak naprawdę – poza nielicznymi wyjątkami – zachowują się, jak straganiarze z bazaru Różyckiego w Warszawie. Dlatego o naszej lidze najgłośniej mówi się w kategoriach kupna i sprzedaży. „Kupującego” widzi się jednak tylko poza własną zagrodą. U siebie w domu wszyscy są czyści jak łąka. Krecią robotę uprawiają wyłącznie sprzedajni rywale! Taka postawa zaciemnia faktyczny obraz ligi i potęguje międzyklubowe niesnaski. A „w łeb” za to wszystko dostaje oczywiście PZPN. Dojrzeła sytuacja, aby pozbyć się tego garbu. Może wtedy w ligowym piłkarstwie będzie wreszcie normalnie?

Oczekiwane zmiany na lepsze powinno zapewnić przejęcie ligowych rozgrywek przez kluby. Są o tym przekonane obie strony LIGA i PZPN. To dobry znak. Władza w rękach klubów być może ukróci egoistyczną i brudną moralnie pogoń działaczy, zawodników, trenerów i sędziów wyłącznie za karierą i kasą. Dobro sportu, klubu, ligi, wreszcie reprezentacji wymaga również postaw altruistycznych. Na razie między bajki można by włożyć zapewnienia niektórych piłkarzy i ich chlebodawców, że głównym motywem w ich pracy są wyłącznie ambicje czysto sportowe. Obce jest im zakłamywanie rzeczywistości, a przyświecają tylko czyste intencje i wzniosłe idee. Taką różową przyszłość ma umocnić samodzielna liga. Kraina szczęśliwości! Narzuca się jednak pytanie – co w tej nowej strukturze robić będą natrętni „menedżerowie”, przekupni działacze, nieuczciwi sędziowie i różnej maści handlarze ligowymi punktami? Kogo wtedy z Groclinu będzie przepędzał Zbigniew Drzymala i z kim darł koty Bogusław Cupiał? No i co równie ważne, na kogo wówczas do prokuratury donosić będzie Jan Tomaszewski?

PO ENGELU BYŁ BONIEK

Optymiści powiadają, że nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Pesymiści wymachują drugą stroną medalu – Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej? Komu wierzyć? Poczekamy, zobaczymy jakie to środki zaradcze wprowadzi suwerenna liga. Czy spisze się równie dobrze, jak Paweł Janas w pracy z reprezentacją? Gorzko było na World Cup 2002 w Korei Południowej. Zaraz po odejściu Jerzego Engela z PZPN aż piekło w gardle. Nieskutecznym lekarstwem na te kłopoty okazał się Zbigniew Boniek. Pierwsze podejście Janasa też gryzło podniebienie, dopiero drugie wielu ludziom futbolu poprawiło humory i ułatwiło trawienie.

Jakże złożone, wręcz paradoksalne są losy naszego piłkarstwa. Akurat wtedy, kiedy sędziów słusznie chlastano nie tylko za przekręty na boisku, ale także za nocne rozkosze i w miejscach publicznych za nadmierny popęd płciowy, zaś niektórych zawodników posądzano o skłonności przemytnicze, trenerom i działaczom zarzucano brak kompetencji, reprezentacja dość szybko się odrodziła i pewnie zmierzała w kierunku finałów Weltmeisterschaft 2006. Janas utarł nosa wszystkim wszystko lepiej wiedzającym i rychło z „chłopca do bicia” stał się bohaterem narodowym. Udowodnił, że praca selekcyjnera dość wyraźnie różni się od zawodów piekarza i aptekarza. W futbolu wypiek jest wolniejszy i nie ma gotowych recept na dobry wynik. Tworzenie reprezentacji obok wiedzy wymaga odwagi, konsekwencji i cierpliwości. Bo „spieszyć się trzeba tylko przy łapaniu pcheł”. Naloty na Janasa urządzali z reguły piłkarscy ignoranci.

W PZPN początkowo też sądzono, że cudownym balsamem na „poengelowskie” frustracje będzie Zbigniew Boniek. Wybitny piłkarz, swego czasu trzeci na Mundialu, erudyta, człowiek sukcesu, świetny polemista, wzór dla kilku pokoleń zawodników, bożyszcze kibiców, postrach dla „podwórkowych” działaczy, nie w ciemną bitą trener, słowem – światowiec jakich w naszym futbolu trzeba by szukać ze świecą. A przy tym wszystkim facet niezależny finansowo, nieskąpiec, można by nawet rzec – filantrop. Nie szczędził przecież grosza na „swój” Widzew, spłacając w tej formie dług wdzięczności za osiągniętą tam międzynarodową klasę i sławę. Szeroko otworzyło to „Zibiemu” wrota do włoskiej serie A. Kto byłby w stanie mu dorównać?

Na długachnej liście pochwał pod adresem Bońka zabrakło jednak, gdy mowa o selekcyjnerze – trenerze, kilku niezwykle ważnych pytań: – Jakiej właściwie klasy jest ten szkoleniowiec? Czy gama zalet, jakie wyśpiewuje się pod jego adresem, ułatwi mu pracę z reprezentacją? A może zaszkodzi? Czy raptus Boniek,

bestia niezwykle ambitna, bo i takim go trzeba widzieć, podźwignie ten selekcyjnerski ciężar? Zachowa się jak prawdziwy mężczyzna, gdy pojawi się pierwsze niepowodzenie, czy jak chłopiec z piaskownicy rzuci te piłkarskie zabawki? Wymarzył sobie drużynę na miarę takiej w jakiej wcześniej sam grał. Błąd w założeniu. Nie miał w kadrze tak wybitnych indywidualności.

Bońkowi jako trenerowi, nie powiodło się już w lidze włoskiej. To musiało boleć. W rodzinnym kraju, wśród swoich usiłował dowieść, że jest równie utalentowanym trenerem, takim jakim był kiedyś piłkarzem. Kolejny błąd, bo te dwie wartości rzadko idą z sobą w parze. W każdym razie szczerze życzyłem „Zibiemu” powodzenia. Boniek zawiódł jednak wszystkich; po przegranym 0:1 meczu z Łotwą w Warszawie (nie bez winy był tu Dudek), uciekł z pola walki Zakpił z nas czy ujął się honorem? A może wcale nie ma tak „twardego charakteru” jak powszechnie sądzono?

W końcu 2002 roku berło selekcyjnera przejął Paweł Janas. Też piłkarz wybitny, też medalista mistrzostw świata i też wysoko ceniony poza granicami Polski. Przyjaciel Bońka z Widzewa i hiszpańskiego Mundialu. Będzie lepszym od niego trenerem? Fakty przemawiały za Janasem. Mając na względzie wcześniejsze dokonania Pawełka w roku 2001, gdy mazowieckie piłkarstwo świętowało swoje 80-lecie – jako kanclerz jubileuszowej kapituły, spowodowałem wybór właśnie Janasa na Trenera Osiemdziesięciolecia Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej. To zasłużone wyróżnienie wręczyłem w jednej z sal konferencyjnych Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie selekcyjnerem. Podczas składania gratulacji szczerze mu jednak tego życzyłem.

Janas od dawna cieszy się nie tylko moją sympatią, ufa mu znaczna część ludzi futbolu. Wbrew pozorom ma kumpelski charakter, jest otwarty i szczerzy, a to cenne zalety. Jednak splendor spływa nań przede wszystkim za piękną kartę

zapisaną w roli zawodnika i trenera Legii, z którą przebił się do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. Ma też spory udział w budowie i sukcesie olimpijczyków na igrzyskach w Barcelonie. Zatem sporo dokonał. Czy potwierdzi to w pracy z reprezentacją? Przeciwnicy Janasa od początku byli przekonani, że podzieli los swoich poprzedników. Powiało grozą. A przecież po wypadkach Engela i Bońka aż prosiło się o odrobinę przychylności, wszak przejął drużynę rozbitą fizycznie i psychicznie. Koreański World Cup 2002 i przegrana z Łotwą w eliminacjach mistrzostw Europy 2004 załamały największych optymistów. Daleko nam w futbolu do międzynarodowych standardów.

Janas w miarę szybko zdołał zebrać i posklejać to rozproszone towarzystwo, ale strat poniesionych w eliminacjach mistrzostw Europy nie zdołał odrobić. Wprawdzie w Rydze wziął rewanż na Łotyszach, a w Budapeszcie – w przeszłości to się nikomu nie udało – poprowadził zespół do zwycięstwa nad Węgrami, jednak na finały do Portugalii to nie wystarczyło. Pogubił punkty w meczach ze Szwedami. Podzielił więc smutny los Wojciecha Łazarka, Andrzeja Strejlaua i Janusza Wójcika. Szczęście uśmiechnęło się natomiast do Łotwy. Nie brak było głosów, że w Sztokholmie wyraźnie nas wykiwano.

To jakieś fatum. Systematycznie i z zadziwiającą dokładnością reprezentacja Polski od blisko pół wieku przegrywa europejskie kwalifikacje, obojętnie kto stoi na drodze do puli finałowej. Poznali ten gorzki smak nawet tacy mistrzowie w trenerskim fachu, jak: Tadeusz Foryś, Ryszard Koncewicz, Michał Matyas, Kazimierz Górski, Ryszard Kulesza, Antoni Piechniczek, Wojciech Łazarek, Andrzej Strejlau, Henryk Apostel i Janusz Wójcik. Byli tylko biernymi obserwatorami finałów. Jednak – jak dotychczas – z ich wskazówek i doświadczeń reprezentacja niewiele zyskała. Nauka poszła w las. Czy tak będzie również po Euro 2004? Raport pezetpeenowskich wysłanników: Henryka Apostela, Pawła Janasa, Edwarda Klejdinsta, Macieja Skorży, Oresta Len-

czyka, Janusza Wójcika, Dariusza Kubickiego, Mirosława Jabłońskiego i Władysława Stachurskiego tradycyjnie jest obiecujący. To się przyda w eliminacjach mistrzostw świata.

Turniej w Portugalii wykazał, że w Europie nie ma już zdecydowanych faworytów i maruderów. Poziom się wyrównuje, skoro takie futbolowe potęgi, jak: Anglia, Francja, Hiszpania, Niemcy i Włochy nie walczyły o medale. W miarę udanie honoru tych „wielkich” reprezentacji broniła tylko Holandia. Euro 2004 było natomiast popisem drużyn z nieco niższej półki, zwłaszcza Grecji i Portugalii. Niegdyś były w cieniu „biało-czerwonych”, co więcej – tuż przed turniejem finałowym nad Tagiem ekipa Janasa pokonała rewelacyjnych mistrzów Europy. Jaka właściwie jest dzisiejsza piłka nożna?

... „Rozwój futbolu – zapewnia doktor Jerzy Talaga, niegdyś ostoja AWF Warszawa i szef wyszkolenia PZPN – zmierza we właściwym kierunku. Coraz aktywniejsza, bardziej kreatywna gra, szczególnie utrzymanie równowagi pomiędzy podstawowymi jej elementami – atakiem i obroną – zapewniają tej dyscyplinie sportu możliwości dalszego doskonalenia techniki na poziomie mistrzowskim... Dobry lub doskonały poziom gry zdecydowanie zwyciężył nielubiane przez wszystkich kunktatorstwo... Porażki faworytów i zaskakująca koronacja najlepszych piłkarzy Europy dodatkowo pobudziły zainteresowanie piłką nożną”.

Byli też na tych mistrzostwach prezes PZPN Michał Listkiewicz, wiceprezes Henryk Apostel i sekretarz generalny Zdzisław Kręcina. Oglądali tylko niektóre spotkania, ale – jak zapewnił prezes – zdołali wyrobić sobie zdanie o podniosłej atmosferze, jaka panuje na imprezie tej rangi oraz sposobie gry reprezentowanym przez poszczególne zespoły. W wywiadzie udzielonym „Przeładowi Sportowemu” Listkiewicz żałował tylko, że zabrakło tam naszych piłkarzy. Uważa, że wstydu by nam nie przynieśli.

– Skoro zbierała pochwały Łotwa, Bułgaria, Chorwacja czy Rosja – powiada z pełnym przekonaniem – to i dla nas znalazło by się miejsce na Euro. To zespoły o podobnym do nas poziomie.

– A jaka nauka płynie z tej imprezy? – zapytali Roman Kołtoń, Dariusz Tuzimek i Marcin Harasimowicz.

– Widać wyraźnie – odpowiedział prezes – jak wiele zależy od przygotowania fizycznego zawodników. To dobra lekcja dla piłkarzy, bo dzisiaj gdy ktoś nie ma siły, to nie ma czego szukać w międzynarodowym towarzystwie... Po drugie widać, że wariant taktyczny, którego próbuje Paweł Janas jest nowoczesny, bo stosuje go wiele drużyn.

– W sprawach szkoleniowych (najbardziej!!!) lubię być precyzyjny i chciałbym w związku z tym po raz kolejny przypomnieć, że w przeszłości właśnie głównie dobra kondycja i jeszcze lepsza taktyka polskich piłkarzy budziła podziw u rywali. To były nasze mocne atuty. Tym Polacy nadrabiali pewne niedoskonałości w wyszkoleniu technicznym. Zresztą, te wartości zawsze były, są i będą – podstawą w każdej grze zespołowej. I tu uwaga wcale nie małej rangi. Wtedy do występów w reprezentacji już w klubach z reguły dobrze przygotowywali zawodników polscy trenerzy. To były nasze, polskie metody, niewątpliwie dobre, bo w Europie zwłaszcza za to nas chwalono.

Dziś tę ówczesną szkołę uważa się za przestarzałą, nienowoczesną, nawet szkodliwą. Kadrowicze powiadają, że w ligach zagranicznych, niewątpliwie silniejszych i lepiej zorganizowanych, trenuje się zupełnie inaczej. Nigdy na mrozie i w zaspach śniegu. Nie przeczę, mam jednak prawo wątpić czy skutecznie, skoro wybrańcy naszych trenerów z klubów zachodnich przyjeżdżają na zgrupowania w kiepskiej formie fizycznej, w rezultacie nie mają siły na cały mecz. Czy to kwestia tylko innych metod szkoleniowych? Wymaga to głębszych studiów. W sprawie taktyki nasz prezes też nieco przesadził. Tak „no-

wocześnie” jak na turnieju w Portugalii grano już na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Tylko kto to dziś pamięta?... A są i tacy, którzy nigdy nic o tym nie słyszeli i dziś... niewiele wiedzą. Ergo – nie tylko piłkarze bywają niedouczeni.

Oglądałem ten turniej w telewizji i z uwagą wysłuchiwałem komentarzy Jacka Gmocha, Andrzeja Strejlaua, Antoniego Piechniczka, uwagi dra Talagi też głęboko utkwily mi w umyśle. Wprawdzie mógłbym wytknąć doktorowi, że nieco przewrotnie postrzega wartości, które zapewniają piłce nożnej doskonalenie techniki, a Strejlauowi i Piechniczkowi, że ubolewają z powodu „przemęczenia zawodników” rozgrywkami klubowymi i pucharowymi, jednak ich ponadczasową opinię, że **„twarda ręka i wzajemny szacunek oparty na kulturze bycia jest ważnym czynnikiem w budowie, szkoleniu i kierowaniu każdą drużyną”**, uważam za trafną i u nas bardzo pożądaną.

Co konkretnie dobrego wyniósł Paweł Janas z obserwacji mistrzostw w Portugalii? Nie mając po temu podstaw kadrowych przestał wydziwiać i zaskakiwać nierealnymi systemami gry i skomplikowanymi rozwiązaniami taktycznymi. Oparł pracę na dobrze już znanej i sprawdzonej wiedzy piłkarskiej. Janas jest selekcjonerem o wyjątkowo dużym dorobku ligowym i reprezentacyjnym. Mówi się i pisze, że jest jednak mało medialny, unika dziennikarzy i że woli chodzić do lasu na polowania, niż na mecze naszych ligowców. Domniemania. Prawdy ukryć się nie da: za stylem pracy każdego selekcjonera przemawiają wyniki. Janas ma dokonania godne podziwu i uznania.

Zrobił kawał dobrej roboty nie tylko dla siebie i piłkarzy, lecz także dla szerszej grupy prawdziwych przyjaciół piłkarstwa. Zagiął parol na mistrzostwa świata. Zaczęło się dobrze, od zwycięstwa nad Irlandią Północną w Belfaście aż 3:0, ale kolejny mecz z Anglią w Chorzowie przyniósł przegraną 1:2. Właśnie wte-

dy nasiliła się krytyka pod adresem selekcjonera. Sięgano po siekiery, topory, żądano głowy, dymisji... Byłem na tym spotkaniu, też wytknąłbym Janasowi kilka błędów kadrowych i w sposobie gry, ale potępienia wszystkiego w czambuł nie miałbym śmiałości. Anglia – to nie jakiś tam piłkarski kopciuszek, to były mistrz świata, reprezentacja wciąż z dużymi szansami na powtórzenie tego sukcesu, bo zawodnicy utalentowani, dobrze wyszkoleni i w każdym calu profesjonalni. W Chorzowie pojawiłem się nie tylko ze względu na mecz z Wyspiarzami. Były też inne powody, pełne wspomnień, zabarwione dużym sentymentem do piłkarskich przeżyć z przeszłości.

Decyzja zapadła w PZPN podczas spotkania noworocznego 2004. Przy jednym stole biesiadnym zasiedli „piłkarze z tamtych lat”. Reprezentanci Polski, najlepsi z najlepszych głównie w czasach Tadeusza Forsysia i Ryszarda Konewicza. Jak zawsze elegancki Roman Korynt, ważący każde słowo Edmund Zientara, gadatliwy Leszek Jezierski i wciąż niezwykle sprawny i „zasadniczy” Jerzy Woźniak. Arbiter elegantiarum, Merlo, Napoleon, Siwy – to ksywki tych dziś starszych panów z okresu, gdy naprawdę dobrze kopali piłkę. Ja oczywiście wśród nich, bo to moje pokolenie, setki przeżytych spotkań ligowych i dziesiątki wspólnych radości i smutków podczas gier międzypaństwowych. Dosiedli się do tego grona nasz rówieśnik Henio Loska, tylko nieco młodszy Jurek Hołub i junior w tym towarzystwie Stefan Szczepłek. „Biały Pele” miał prawo być tam mile widziany.

Trzech z tych wybitnych niegdyś piłkarzy: Korynt, Woźniak i Zientara w roku 1957 wystąpiło w niezapomnianym, zwycięskim pojedynku z reprezentacją ZSRR. Bezwzględnie jednym z najlepszych w długiej historii naszej drużyny narodowej. Kiedy im to przypominałem, nie mogli ukryć wzruszenia. Twarde chłopiska, ale polały się im łzy szkliste, rześiste. Mieli młodość durną i chmurną... Nagle „Andrzej” Zientara wzniósł niecodzienny toast:

– ... „Zrobię wszystko, aby nasze dziś już prawie zapomniane pokolenie piłkarzy, trenerów, sędziów i zasłużonych dziennikarzy we wrześniu jeszcze raz spotkało się w Chorzowie. Myślę, że redaktor Szczepłek pomoże w organizacji, a PZPN z zadowoleniem przyjmie naszą inicjatywę i... sfinansuje. Panowie, po maluchu! Za taki w meczu z Anglią wynik obecnej reprezentacji, jaki – o jej, ile to lat minęło – był wtedy między innymi zasługą Romana, „Siwego” i... moją w pojedynku z ZSRR. Lechoś uwiecznił to na łamach „Przeglądu Sportowego”.

Głośnym „hurra” przyklepaliśmy ten pomysł. Słowa dotrzymani wszyscy zainteresowani i „grupa warszawska” pięknym autokarem wyruszyła z Placu Zamkowego do Katowic. Do reprezentantów z Legii i Gwardii: Lucjana Brychczego, Jerzego Woźniaka, Henryka Grzybowskiego i Henryka Szczepańskiego dołączył Wiesław Jańczyk z ŁKS i cała plejada wyróżniających się wtedy sędziów piłkarskich. Byli też moi przyjaciele z dawnej „Piłki Nożnej” Mieczysław Szymkowiak i Stefan Grzegorzczak i mój następca w „Przeglądzie Sportowym”, Mirosław Skórzewski.

DAWNYCH WSPOMNIENIŃ CZAR...

Hotel „Katowice”, rojno i gwarno. Zjeżdżają byli reprezentanci Polski, dziś mieszkający w różnych zakątkach świata. Trudne do opisanego przejawy radości przy powitaniu: – *Witaj stary! Kope lat! Jak się masz? Co porabiasz? Gdzie mieszkasz?* A potem pytania o zdrowie i... wierność piłce nożnej. U większości z nas już od dawna szron na głowie, u niektórych łysina, niczym księżyc w pełni, ale miłość do futbolu równie duża jak przed pół wiekiem. Wierzyć się nie chce, że w grupie sześćdziesięciolatków jest już nawet Jan Banaś, strzelec pierwszej bramki w jedynym dotychczas wygranym przez nas meczu z Anglią, a „Kiciemu” Brychczemu stuknęła siedemdziesiątka.

Gerardowi Cieślikowi, głównemu bohaterowi zwycięskiego meczu z ZSRR, należne ukłony i hołdy składają Leszek „Napoleon” Jezierski, Wiesław Jańczyk – obaj ze słynnej drużyny łódzkich „Rycerzy Wiosny” oraz zawsze wesolutki jak skowronek Jaś Liberda i wiecznie uśmiechnięty Kazimierz Trampisz. Oni też – podpory dawnej Polonii Bytom – zapisali w naszym piłkarstwie piękną kartę. A kto pamięta Teodora Wieczorka, byłego piłkarza AKS Chorzów, reprezentacyjnego pomocnika i wybitnego trenera? To jeden z pupilków Ryszarda Koncewicza. „Fajka” tak go widział: – „Teo” nigdy za dużo nie mówił, ale gdy już zabrał głos, miało to sens. Wody nie lał... Wolał się zabawić... Osiemdziesięcioletek Teodor, ojciec Henryka, też reprezentanta Polski, uczestnika mistrzostw świata, to tak jak Cieślik, Korynt i Zientara wciąż niekwestionowane autorytety, mistrzowie w swoim fachu, piłkarze o dużej wiedzy i dobrym smaku. Dawnych wspomnień czar...

Na tym katowickim zlocie piłkarskich gwiazd głównie z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i nieco późniejszych dobrze czuli się również uważani w tym gronie za juniorów: Włodzimierz Lubański, Janusz Kowalik, Jan Tomaszewski, Zygmunt Anczok, Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach, Władysław Żmuda, Roman Wójcicki... To w większości panowie z Klubu Wybitnego Reprezentanta! Ich dorobek jest bogatszy, zebrali więc należne brawa od starszych kolegów za medale olimpijskie i mistrzostw świata. Nie szczędzono też braw trenerom z dorobkiem: Leszkowi Jezierskiemu, Ryszardowi Kuleszy, Andrzejowi Strejlauowi i przede wszystkim Antoniemu Piechniczкови. Było nam miło, gdy młodszy kolega po fachu, Stefan Szczepłek w imieniu organizatorów podziękował za dziennikarski trud i niewątpliwe osiągnięcia: Mieczysławowi Szymkowiakowi, Jerzemu Lechowskiemu, Januszowi Jeleniowi, Stefanowi Grzegorczykowi, Michałowi Strzeleckiemu, Jerzemu Figasowi, Mirosławowi Skórzewskiemu. Gdyby wtedy ktoś wręczał mediom Piłkarskie Oskary, to większość z nich miałaby

w dorobku okazałą kolekcję. Oni zawsze utożsamiali się z całym środowiskiem. Podkreślili to „piłkarze z tamtych lat...”.

- Znali się na futbolu, byli naszymi partnerami – pochwalił nas Staszek Oślizło.
- Pisali prawdę i tylko prawdę – wtórował Janek Liberda.

Nie szczędzili nam krytyki, byli surowi, ale i wyrozumiali. Pióra mieli wyostrzone, ale oceny zawsze sprawiedliwe – dowodził „Andrzej” Zientara. Fachowcy...

Stoły były suto zastawione, mnóstwo gorącego jadła, nie brakowało też chłodnych i wysokoprocentowych napojów. Głowy większości uczestników tego spotkania wydały mi się równie mocne jak u szczytu sławy. I wciąż pełna kultura! Ciepłym sercem i siłą intelektu wypadało więc wyrazić piłkarzom wdzięczność i podziękowanie za doznane uczucia i niecodzienne wrażenia sportowo-estetyczne. To nie był jakiś zaczarowany świat, to się kiedyś naprawdę zdarzyło! Te piękne strzały Cieślaka, Brychczego, Laty, Szarmacha i Lubańskiego, te bramkarskie parady Kostki i Tomaszewskiego. Oni nam dziennikarzom to ofiarowali, tak jak kibicom w realnym życiu sportowym. Nie ukrywajmy – ono niekiedy naprawdę przeradzało się w cudowną baśń. Podobne uczucia przeżywał prezes Michał Listkiewicz:

...„To panowie sprawili – powiedział – że o polskim futbolu wszędzie – w Europie i na świecie – mówi się dziś z szacunkiem i respektem... O tym, co się wówczas działo w piłce nożnej, obiektywnie i kompetentnie pisali dziennikarze... Zwracam się do ich młodszych kolegów, pełniących obecnie reporterskie obowiązki – uczcie się dobrego i rzetelnego rzemiosła od starszych... Wszak troska o futbol, jego wizerunek i poziom jest naszym wspólnym obowiązkiem”.

Na tym historycznym zlocie dawnych gwiazd z boisk piłkarskich zaprezentowały się również gwiazdy estrady: Krystyna Loska, Marcin Daniec i Bogdan

Łazuka. To nasi wypróbowani przyjaciele. Od wielu lat wspierają nas duchowo. A wieczorem 8 września 2004 roku na Stadionie Śląskim odbył się mecz z Anglią o punkty w eliminacjach mistrzostw świata. I znowu odżyła historia. Nie zawsze dla nas miła, bo akurat niemal przed pół wiekiem, gdy uroczyście otwierano ten śląski gigant, przegraliśmy na nim towarzyski mecz z NRD 0:2. Ale też właśnie tam w roku 1973 pokonaliśmy Anglię 2:0. Marzyliśmy o podobnym sukcesie. W grupie „starszych panów” jednak najchętniej wracaliśmy wspomnieniami do pierwszego wielkiego zwycięstwa na tym obiekcie.

To był październik 1957 i niezapomniana wiktoria nad ZSRR 2:1. Przed grą z Anglikami, zanim na zielonej murawie pojawili się Jerzy Dudek, Jacek Krzynówek, Maciej Żurawski i ich partnerzy z obecnej reprezentacji, publiczność gorąco oklaskiwała uczestników tej wygranej z „ruskimi”. Z bukietami kwiatów i radością bijącą z ich twarzy zaprezentowali się blisko pięćdziesięciotysięcznej widowni: Gerard Cieślik, Roman Korynt, Stefan Floreński, Jerzy Woźniak, Ginter Gawlik, Edmund Zientara, Lucjan Brychczy i Roman Lentner. Ośmiu wspańiałych! Wtedy było ich jedenastu, ale Edward Szymkowiak i Edward Jankowski odeszli od nas na zawsze, a Henryk Kempny, mający kłopoty rodzinne, przesłał do Chorzowa tylko koleżeńskie pozdrowienia.

Wrażliwość weteranów futbolu na wartości tkwiące w piłce nożnej są ogromne, a pamięć o osobistych w niej doznaniach wiecznie żywa. Staszek Oślizło nieco melancholijnie wspominał czasy, kiedy właśnie na Stadionie Śląskim mecz Górnika z Austrią Wiedeń o Klubowy Puchar Europy oglądało sto tysięcy widzów, a Hubert Kostka nie był w stanie zrozumieć, dlaczego podobną świątynię piłkarską w Warszawie, Stadion Dziesięciolecia przekształcono w największy bazar środkowo-wschodniej Europy. Uznał to za brak szacunku współczesnych władz stolicy dla historii. – *Odebrano nam znaczną część życia* – powiedział Oślizło. Staszek darzy ten obiekt szczególnym sentymentem, bo przecież na nim

debiutował w reprezentacji Polski i to w zwycięskim meczu z ZSRR. Kogo to dziś wzrusza?...

„Biało-czerwoni” przegrali ważny mecz z Anglią 1:2. To stało się znakomitym kąskiem dla prasy. W „Polskiej Piłce” też nie głaskaliśmy i nie rozgrzeszaliśmy piłkarzy, stwierdziliśmy tylko zgodnie z prawdą: **„Silni na Irlandię, słabi na Anglię”**. Pozycja Anglii w piłkarskim świecie jest niewątpliwie wyższa od naszej, a suchy wynik w pełni to potwierdził. Czy jednak ten mecz musieliśmy przegrać? Lepiej przygotowany zespół (znowu ten przeklęty brak kondycji!) zapewne byłby w stanie osiągnąć korzystniejszy wynik, bo rywale też nie zagrali rewelacyjnie. Z Anglią można wygrać, ale pod warunkiem, że ma się drużynę o tak dużych umiejętnościach i w tak dobrej formie, jak ta z czerwca 1973 roku. We wrześniu 2004 takiej drużyny nie mieliśmy. Fakt ten posłużył mediom do urzędzenia kolejnego polowania na selekcionera. Kilka pism już go zwolniło z pracy. Z niewiedzy, dbałości o nakład gazety czy z tęsknoty za Jerzym Engelem? Fantazjowano. On na pewno dałby Anglikom kopniaka!...

Nie gustuję w stadnych, przy tym niesprawiedliwych ocenach i na faktach opartych na „chciejstwie”, a nie posiadanej wiedzy. Lubię w takich sytuacjach płynąć pod prąd, nie z przekory, ale z przekonania, że skandalizujące publikacje nie są najlepszym sposobem na rozwiązywanie problemów reprezentacji. Tu bardziej potrzebne są merytoryczne uwagi, a nie jęki niezaspokojonych pańienek, dialog z selekcionerem i chęć podania mu ręki. To „zwalnianie” trenera przez prasę nasiliło się przed kolejnymi meczami z Austrią i Irlandią Północną. A ja wciąż płynąłem pod prąd, szczególnie mocno akcentując swoje racje w tekście „POLOWANIE NA JANASA”. Chwila była odpowiednia, bo po przegranych eliminacjach byłaby to zwykła musztarda po obiedzie.

... I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu – tak zacząłem swój wywód. – Może to zbyt prostackie porównanie, ale ma w sobie coś ze spraw bliskich naszej repre-

zencji. Od Janasa wymaga się nawet budowania zamków na lodzie. A przecież nie jest cudotwórcą! Z materiału ludzkiego, jakim dysponuje, trudno wykreować mistrza świata... Może inny selekcjoner miałby więcej szczęścia? A może – jak tu i ówdzie sugerują – drużynie przydałby się psycholog?

Źle postawiona diagnoza. To, co wystarczy na poprawną grę w różnych ligach, to stanowczo za mało na potrzeby reprezentacji. Tu wymagana jest wyższa jakość. Dlaczego jednak niegdyś się udawało, a dziś już nie? Regres jest widoczny. Technika większości ligowców nadal jest co najwyżej przeciętna, kondycja – to skandal – na pół godziny, a taktyka wyraźnie przerastająca możliwości wykonawców. I to właśnie jest najistotniejszą przyczyną naszych niepowodzeń na arenie międzynarodowej. Odczuwamy niedobór dobrze wyszkolonych i odpowiednio przygotowanych piłkarzy. Czy temu wszystkiemu jest winien wyłącznie Paweł Janas?

Bałamutne sugestie. Kowale zawinili, a usiłuje się powiesić Cygana. Selekcjoner ma ograniczone możliwości szlifowania formy niedotrenowanych piłkarzy. Reprezentacja gra teraz praktycznie „z marszu”. W przeszłości nigdy i nikomu to się nie udawało. Koncewicz i Górski szkoleniowe partactwo w klubach w miarę skutecznie mogli naprawić na długachnych zgrupowaniach kadry. Teraz uniemożliwiają to przepisy FIFA i UEFA, wrzask podnoszą też współcześni bonzowie klubowi w kraju i zagranicą. Tu koło się zamyka, nie ma już przychylnej „pogody dla selekcjonerów”.

O faktycznej wartości każdego piłkarza i każdej drużyny – z uporem to powtarzam – decydują przede wszystkim umiejętności techniczne. Gdzie jednak dziś szukać takich mistrzów tej specjalności, jakimi niegdyś byli: Gracz, Cieślik, Brychczy, Liberda, Gadocha, Janusz Kowalik lub Szoltysik? Trafiają więc do reprezentacji zawodnicy niedouczeni, często zwykli wyrobownicy lub mocno już wyeksploatowane „odrzuty z eksportu”. Janasa można i trzeba winić, że ich powołu-

je, ale za wyszkolenie i brak siły już nie. Abecadła nauczył ich jakiś belfer z podstawówki, ale potem już nikt nie potrafił odpowiednio wyszkolić, zabrakło dobrego „szlifierza” talentów. Kondycję można stracić już po jednej większej bandrze, natomiast odbudowa siły wymaga wielu dni ciężkiej pracy. Na to nie ma czasu na tak krótkich dziś zgrupowaniach kadry. Poza tym stanowczo za wcześnie i bez racjonalnego uzasadnienia wychwała się przeciętnie wyszkolonych zawodników, a hurtowo potępia selekcjonerów.

Mieliśmy już kiedyś w naszym reprezentacyjnym piłkarstwie „szczęśliwego kapitana”, nazywał się Czesław Krug. Było to określenie przesadne, bo ważnych gier o punkty pan Czesław de facto nie wygrywał. Natomiast Janas wręcz przeciwnie, po odpowiedniej selekcji, zaczął bić rywali jak się patrzy. Na to antagoniści przypięli mu łatkę „szczęśliwego selekcjonera”. Gdy przegrywał, to był „nieudacznikiem”, a kiedy spuszczał baty rywalom, to... dopisywało mu szczęście. Nie wiedza, doświadczenie, wyobraźnia, odpowiednia strategia, że o taktyce i umiejętnym wykorzystywaniu możliwości zawodników już nie wspomnę, tylko – szczęście. Przed kolejnymi meczami eliminacyjnymi z Austrią i Walią miał go wprawdzie niewiele, bo ze składu wypadli chorzy lub kontuzjowani: Arkadiusz Głowacki, Michał Żewłakow, Damian Gorawski i Euzebiusz Smolarek, mimo to przezwyciężył wszystkie kłopoty i przywiózł z tymi graczami, których miał do dyspozycji, sześć punktów z Wiednia i Cardiff.

Z reguły każda drużyna, a więc także reprezentacja, gra na obraz i podobieństwo swojego trenera. On tworzy drużynę, nadaje jej określonego kształtu, narzuca myśl taktyczną, napawa duchem walki i umacnia wiarę w zwycięstwo. Siły nadprzyrodzone niewiele tu znaczą, a i uczone wywody psychologów odgrywają tu dużo mniejszą rolę, niż kompetencje selekcjonera-trenera. Nie przypadkowo ujmuję to w takiej konwencji, bo trzy kolejne wyjazdowe zwycięstwa ekipy

Janasa w eliminacjach mistrzostw świata, kreują go na szkoleniowca w pełnym wymiarze – właśnie selekcyjnym i trenerskim. Dotychczas z tych dwóch zadań najlepiej wywiązywał się Kazimierz Górski. Jemu też mniej przychylni ludzie przypisywali ksywkę „szczęściarz”. Dziś jest Trenerem Stulecia. Może właśnie Janas będzie kontynuatorem dzieła Wielkiego Mistrza?

O wadze wygranych spotkań z Austrią i Walią, niejako na przekór nawiedzonemu Janowi Tomaszewskiemu i zwolennikom byłego selekcyjnego Jerzego Engela, na łamach „Polskiej Piłki” dość jednoznacznie wyraziłem swoją opinię w dwóch tekstach: „**Zwrot w dobrym kierunku**” i „**Co dalej?**”. Starłem się tam odwieść „pana Janka” od permanentnego trzymania nad głową Janasa „miecza Damoklesa”, a zawziętych krytyków selekcyjnego, owych inicjatorów polowania na Janasa, skłonić do nieco cieplejszego spojrzenia na jego dotychczasowe osiągnięcia. Znany aktor i reżyser, przy tym niezłe kopiący piłkę artysta Olaf Lubaszenko, skromnie zasugerował znawcom piłki nożnej „z okiem pociągu pociągów”, aby zdobyli się na odwagę i przeprosili ofiarę nieudanych łowów. Milczą do dziś...

Jednym z piszących, którzy nie ustrzegli się przedwczesnej krytyki Pawła Janasa, był również – ubolewam z tego powodu, bo to mój wychowanek – Roman Hurkowski. Znam go praktycznie od „dziennikarskiego przedszkola”, lubię i doceniam. Wiem też, że ma rozległą encyklopedyczną wiedzę o piłkarstwie, równie dużą o wartości publicystycznej. Wie chłop, co w trawie piszczy! Romek ma jednak pewną szpetną wadę: często coś powie lub napisze znacznie wcześniej, niż pomyśli. Lubi być w gorącej wodzie kąpany. Tą właśnie skłonnością gotów jestem wytłumaczyć nie do końca przemyślany tekst o całej ekipie Pawła Janasa zamieszczony swego czasu w stołecznym „Życiu” redagowanym przez Tomasa Wołka, też mojego młodszego kolegi redakcyjnego z lat siedemdziesiątych. Otóż Hurkowski tak przeżył przegraną z Danią 1:5:

... „W listopadzie 2002 roku Zbigniew Boniek, jako selekcjoner, też przegrał z Danią. Ale tylko 0:2, ale tylko na wyjeździe, ale miał na tyle honoru, żeby zrezygnować z opieki nad kadrą. Czy tak samo zrobi Paweł Janas po wpadce znacznie bardziej kompromitującej?... Tym bardziej, że błędzi już przez ponad półtora roku, podczas gdy Boniek męską decyzję podjął po zaledwie czterech miesiącach”...

FAŁSZYWE „DIAMENTY”

Już tę frazę uznałem za mocno przesadną, choćby z tego względu, że pojęcia „kompromitacja”, „blamaż” i tym podobne w sporcie w ogóle, a w piłce nożnej szczególnie uważam za niewłaściwe. Podobnie, jak i te w stylu „genialnie”, „fantastycznie”, „cudownie”. To wszystko daleko odbiega od rzeczywistości. Myślę, że futbol sam w sobie jest tak atrakcyjny i w swej warstwie wewnętrznej tak nieprzenikniony, że upiększanie go lingwistycznymi skrajnościami jest sporą przesadą. Zamiast potęgować napięcie bardzo często je osłabia. A już zupełnie źle jest, gdy piszący lub mówiący, siląc się na oryginalności, wyrządza krzywdę jednostce lub grupie osób z nią współpracujących.

Za niezręczną uznałbym więc tezę, że winę za początkowe niepowodzenia selekcjonera ponosi „**twór o nazwie Wronieckie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji**”. Rażą też pojęcia „wygodne gniazdko”, „jakieś tam patenty dla kadry” i „oderwane od rzeczywistości cuda”. Wyraźna przewaga formy nad treścią! W tej sytuacji wątpliwą satysfakcję daje mi taki oto wywód młodszego kolegi:

... „Krytykowaliśmy ustawienie „diamentowe” od samego początku, ale widać Janas przejął się dopiero, kiedy czytał w periodyku „Polska Piłka” te oto słowa wybitnego znawcy tematu red. Jerzego Lechowskiego: – „Nadmierne rozbu-

dowanie drugiej linii, to już tylko jeden krok do futbolowej „sztuki dla sztuki”. Jest to raczej negowanie, a nie kreowanie podstawowych idei futbolu. To forma jałowego ataku pozycyjnego wyłącznie w środku pola! Natomiast wystawianie w przodzie tylko jednego zawodnika (i to często o zupełnie innych predyspozycjach), to powrót do modnej w latach pięćdziesiątych „gry na desant”. Wraz z „murowaniem” własnej bramki kiedyś nazywaliśmy to antyfutbolem. Czy aż tak bardzo zmienił się wizerunek piłki nożnej, że dziś takie praktyki trzeba utożsamiać z nowoczesnością”.

No i odstąpili Janas ze Skorzą od „diamentu”, ale czy zaproponowali w zamian coś sensownego? Od dawna nie mamy w środku pomocy zawodników kreatywnych. I Kukiełka z Mariuszem Lewandowskim po raz kolejny temu nie zaprzeczyli – stwierdza Hurkowski. Ostrożna, ale merytorycznie w pełni uzasadniona diagnoza. Tylko takie „podpowiedzi” mogą pomóc selekcyjnerowi. Inwektywy, połajanki, nośne medialnie polowania z nagonką i nieuzasadnione nawoływanie trenera do dymisji, nic dobrego do sprawy nie wnoszą. Godna uwagi jest tu jednak opinia Wojciecha Kowalczyka: – *„Kadrowicze z klubów zagranicznych często lekceważą towarzyskie mecze międzypaństwowe”*. Znamy ten ból od ładnych kilku lat. Doznali go praktycznie wszyscy poprzednicy Janasa.

Jednym z ważnych przymiotów piszących o futbolu, skoro wiedzy nie staje, winno być okazywanie reprezentantom Polski życzliwości i sympatii. Niestety, dziś przeważają złe nawyki „czwartej władzy”, nadmierne skłonności do działań śledczych i permanentne szukanie „dziury w całym”. Po wygranych w Wiedniu i Cardiff (a tam nawet „cudowna” jedenastka Kazimierza Górskiego z Janem Tomaszewskim w bramce padła w walce z walijskimi osiłkami) zarzucono Janasowi, że za późno wprowadził do gry filigranowego Tomasza Frankowskiego, no i po co „odgrzebał” Radosława Kałużnego. Przekleństwo!...